WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr 4 9 I 1990 r. Cena 300 zł

List do redakcji

POMNIK ARMII KRAJOWEJ NA WILEŃSZCZYŹNIE

1 września 1989 r., w 50. rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej kilka kilometrów od Wilna we wsi Krawczuny stanął pomnik Armii Krajowej. Inicjatorem stworzenia pomnika jest Związek Polaków na Litwie. Jest to pierwszy pomnik Armii Krajowej na Wileńszczyźnie – dotychczas zasługi tej Armii w rozgromieniu faszystów i ich sługusów były całkowicie negowanę w ZSRR, w tym na Litwie. Obecnie powiały u nas inne wiatry, wiatry przebudowy („pieriestrojki"), dlatego stało się możliwe postawienie podobnego pomnika, chociaż trzeba przyznać, że z pewnymi oporami ze strony Litwinów. Tu, w podwileńskiej wiosce Krawczuny, dwutysięczne zgrupowanie Armii Krajowej pod dowództwem majora „Węgielnego", Mieczysława Potockiego (dziś mieszka w Gdańsku), w nocy z 12 na 13 lipca 1944 r. stawiło czoła trzytysięcznemu oddziałowi wojsk hitlerowskich. Śmiercią bohatera zginął w tej bitwie, tu w Krawczunach, dowódca I Wileńskiej Brygady AK „Jurand" – Czesław Grombczewski. Na miejscu, gdzie poległ „Jurand", właśnie stanął ten pomnik Armii Krajowej. W uroczystości odsłonięcia pomnika brali udział mieszkańcy Wileńszczyzny, żołnierze września, młodzież, a także goście z Polski. Było bardzo uroczyście i wspaniale.

Renata Połońska
Wilno, ZSRR
Fot. **Henryk Połoński**

Gdyby nie spadł nawet płatek śniegu, i tak zimą w wielu miastach, w tym również w stolicy – będziemy obserwowali istną białą zamieć. Tworzą ją tysiące mew śmieszek – pospolitych ptaków wodnych, które od nie tak dawna zadomowiły się w dużych aglomeracjach, przez które przepływają rzeki i w których nie brak zbiorników wodnych. Na nich to, a szczególnie na wyspach rzecznych, mewy te nocują. Zaś w dzień buszują przede wszystkim na lądzie. Wtedy to śmieszki gwarantują nam widoki nieco... śmieszne. Beztrosko siadają na szacownych rzeźbach – co szczególnie często widujemy w Łazienkach, na kaplicach, krzyżach, nic sobie nie robiąc z wartości, jaką przedstawiają dla nas te obiekty. Cóż, ptaki mają własny zbiór wartości i właściwą mu, dla nas zwykle niepojętą symbolikę. Nie pozostaje nic innego, jak się z tym pogodzić. Siadając na rzeźbach śmieszki tak stapiają się z nimi, jakby były ich częścią. Niestety, zbytnie zamiłowanie tych ptaków do pomników nie wychodzi tym pomnikom na dobre – za często trzeba je szorować... **(tok)** Fot. **J. Łopuszyński**

Nad Zakopanem - „ponura wiewióra"

Kto w pogodny dzień zimowy, kiedy to śnieg stroi „smreki" – czyli świerki – w białe czapy, znajdzie się w Zakopanem, dozna pewnie wrażenia, że powietrze wokół jest nieledwie kryształowe. Zwłaszcza, jeżeli przyjedzie tu prosto ze Śląska lub z Krakowa. Kto jednak w takim dniu spojrzy na Zakopane z wysoka, choćby z Gubałówki, a jeszcze lepiej np. z szosy wiodącej do Morskiego Oka, spostrzeże, że nad miastem unosi się jakby ruda, zimowa czapka. To smog, istniejący, niestety, i tutaj na skutek aktywności tysięcy pieców i kominów. Smog ten czasem tak gęstnieje, że w najpiękniejszy dzień przesłania górskie panoramy, którymi chcielibyśmy bez przeszkód cieszyć oczy. Gorzej, że oddychanie w Zakopanem staje się coraz trudniejsze. Póki nie przejdzie się tu całkowicie na ogrzewanie gazowe, póki setki indywidualnych i kotłowniczych pieców będą spalać węgiel, nieraz podłej jakości – ta ruda „ponura wiewióra" będzie nieodłączną częścią pejzażu gór, oglądanego z zasłużonego miasta. Mimo alarmów, wiele obiektów w Zakopanem dalej kopci w najlepsze. Ubyły tylko parowozy, które dawniej zadymiały samo centrum, a które zastąpiono elektrowozami od czasu elektryfikacji linii Kraków-Zakopane. Ale to – jak widać na zdjęciu – za mało...

(tok)
Fot. **M. Włodarski**

Przerażający plon dymku z papierosa

LONDYN (PAP). Jak podał przedstawiciel Departamentu Zdrowia i Bezpieczeństwa Społecznego Wielkiej Brytanii, dr Donald Acheson, papierosy są w tym kraju powodem co najmniej 100 tysięcy zgonów rocznie. Aczkolwiek palacze na wyspie należą w każdej grupie społecznej do mniejszości, co jest znacznym postępem w stosunku do minionych lat, to jednak nadal istnieje pilna potrzeba propagandy na rzecz nierozpoczynania palenia przez młodzież.

Sukces czworonożnych aktorów

ANGLIA (PAP). W krajach zachodnich rekordowym powodzeniem cieszy się japoński film „Antarktyda". Jest to wzruszająca, trzymająca w napięciu opowieść o tragicznych losach psów pociągowych, opuszczonych na lodowej pustyni przez japońską ekspedycję naukową w 1958 r. Ekipę naukowców z krytycznej sytuacji wyratował samolot, w którym zabrakło miejsca dla wiernych czworonogów. Polecono je uwiązać, licząc, że uda się je zabrać następnego dnia. Nie udało się. Z ośmiu psów tylko dwa urodzone na Antarktydzie przeżyły cały rok nieustępliwej walki z głodem, zimnem i ciemnością.

Uczestników japońskiej wyprawy zagrali znani aktorzy, którzy wraz z operatorem udziału w filmie o mało nie przypłacili życiem. Odtwórcy głównych ról, czyli psy – powróciły do Japonii bez szwanku. W scenach mrożących krew w żyłach reżyser – wielki przyjaciel zwierząt – uciekał się do różnych forteli. Upadek z lodowej skarpy zakończony roztrzaskaniem zwierzęcia „wykonał" martwy pies kupiony od Eskimosów; podobnie posłużono się ucharakteryzowaną atrapą do sfingowania sceny zmiażdżenia psa przez kry lodowe.

(eb)

Chemia i chemicy na znaczkach pocztowych (3)

MAZOWIECKIE ZAKŁADY RAFINERYJNE I PETROCHEMICZNE W PŁOCKU

KOLEKCJA ŚWIATA MŁODYCH

List królewski za 700 tys. zł

(PAP). Za 700 tys. zł przy wycenie 50 tys. zł sprzedano na 70 krakowskiej aukcji antykwarycznej list króla Zygmunta III Wazy, adresowany do Lwa Sapiehy – hetmana Wielkiego Księstwa Litewskiego, opatrzony pieczęcią księstwa i podpisem króla. Na tej samej aukcji 1,3 mln zł uzyskano za pochodzące z 1792 r. angielskie 5-tomowe dzieło zawierające relacje „Z podróży po Polsce, Rosji i Szwecji".

„Esmeralda"

(PAP). Na jednej z wysp archipelagu Seszele na Oceanie Indyjskim znaleziono żółwia-tłuściocha ważącego 306 kg, to jest o 19 kilogramów więcej niż jego rywal z londyńskiego ogrodu zoologicznego. Żółw, któremu nadano imię „Esmeralda", ma wszelkie dane zostać rekordzistą Guinnessa.

Tina Turner rzuca film

WASZYNGTON (PAP). Tina Turner oświadczyła ostatnio, że postanowiła zakończyć filmową karierę, ponieważ ma dosyć roli seks-symbolu, a takie były najczęściej jej ekranowe wcielenia. Amerykańska gwiazda estrady zamierza wyłącznie poświęcić się muzyce.

Rowerem taniej

(PAP). Od kiedy producenci rowerów w Europie Zachodniej i w USA zaczęli masowo importować rowery z nowo uprzemysławiających się krajów Azji, a zwłaszcza z Tajwanu i Singapuru, rower zaczął tanieć w stosunku do innych towarów przemysłowych. W Stanach Zjednoczonych sprzedano w ub. roku 14,5 miliona rowerów, w krajach zachodnioeuropejskich – 14 mln sztuk.

Rewia mody

Mamy po 13 lat i chodzimy do tej samej klasy. W tym roku w naszej klasie rozpowszechniła się rewia mody. Niektóre dziewczyny ubierają się w drogie ciuchy, inne, których rodziców nie stać na takie wydatki, są odrzucane przez „strojnisie" i czują się osamotnione.

Chciałybyśmy się dowiedzieć, czy tak dzieje się też w innych klasach? Czekamy na Wasze wypowiedzi.

„Kindzia" i „Mańka" z Morąga

Jak znaleźć wspólny język z chłopcami?

Jesteśmy uczennicami kl. VIIa. Chcemy opisać naszą klasę. Gdyby nie chłopcy, klasa byłaby inna. To oni są powodem wielu zmartwień i kłopotów. Wyśmiewają nas; przeszkadzają na lekcjach nauczycielom. Mimo interwencji wychowawczyni wcale się nie zmieniają. Urządzałyśmy na przykład Dzień Chłopca, zaprosiłyśmy ich na skromny poczęstunek, myślałyśmy, że się poprawią, ale pomyliłyśmy się. Co mamy robić, jak znaleźć z nimi wspólny język? Prosimy, pomóżcie!

Dziewczyny z VIIa

Byli więcej warci niż inni chłopcy

Kochani chłopcy! (Arek i Piotr nr 101 „ŚM"). Jestem od Was trochę starsza (mam 19 l.) i bardzo dobrze Was rozumiem. Wasza sytuacja przypomina mi problemy moich rówieśników, którzy po ukończeniu szkoły podstawowej nie poszli do LO czy technikum, lecz z powodów rodzinnych (głównie trudna sytuacja materialna w domu) musieli podjąć naukę z ZSZ. Ich koleżanki śmiały się z nich, uważały, że są tak tępi, że nie mogą się dalej kształcić. Oni tymczasem byli mądrzy, uczciwi, mili i sympatyczni, chcieli pomóc w domu, dokładać zarobione pieniądze. Byli więcej warci niż inni chłopcy chodzący do szkół średnich. Jeden z nich bardzo mi pomógł (jestem otyła, z tego powodu raczej wyśmiewana).

I to nie jest prawda, że jesteście gorsi od innych. Nie macie nałogów – to wielki plus! Z Waszego listu wywnioskowałam, że jesteście uczynni, wrażliwi i... bardzo sympatyczni. Nie przejmujcie się tamtymi dziewczynami. Poznacie jeszcze wiele dziewczyn, które docenią Wasze zalety, Wasz charakter. Jednakże pomyślcie także o dalszym kształceniu się. To także pomoże Wam znaleźć tę jedyną. To podniesie Wasz prestiż.

Napisaliście, że poznaliście świetne dziewczyny. Ale czy one były rzeczywiście „świetne", czy tylko szałowo wyglądały? Bo gdyby były to dziewczyny z charakterem, to na pewno nie przejęłyby się tym, że jesteście z OHP. Nad tym też się poważnie zastanówcie.

A ci koledzy? Czy oni zasługują, żeby być Waszymi kolegami! Nie wiem czy to zazdrość o te dziewczyny, czy chęć dokuczenia Wam doprowadziły do takiej sytuacji. Aha, pamiętajcie, że nie możecie ukrywać niczego przed dziewczyną. Jeżeli ona wszystko zrozumie, to będziecie wiedzieli, że to być może ta – „jedyna".

Pozdrawiam Was i życzę więcej szczęścia następnym razem!

Hej! **Baśka**

TAKI FASON?

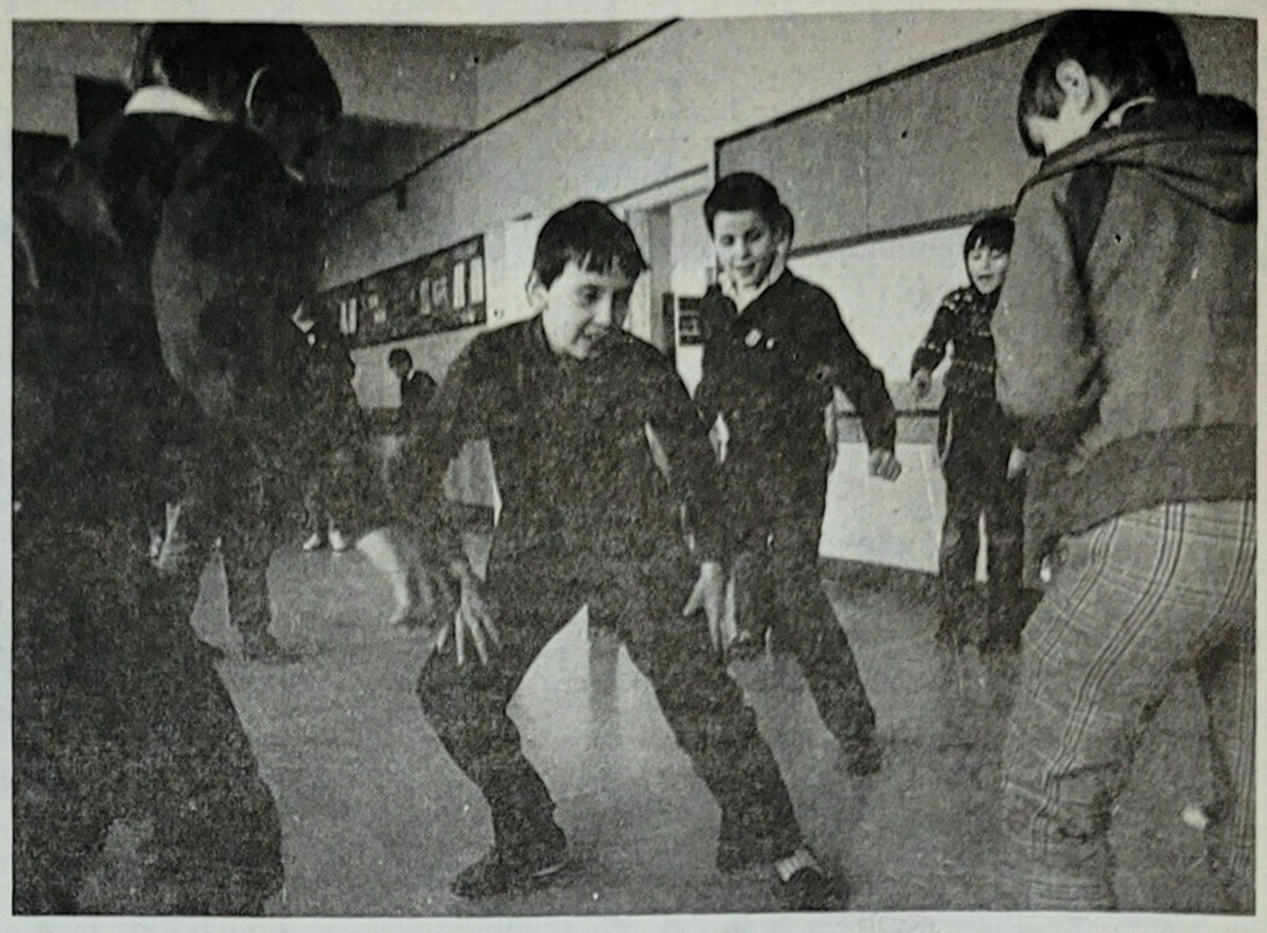

Milej jest wśród miłych

Chamstwo jest właściwie wszędzie, ale chyba najczęściej oskarża się o nie młodzież; że jest arogancka, chamska, egoistyczna i materialistycznie nastawiona wobec świata. To prawda, że większość młodych ma mgliste pojęcie o kulturze osobistej i tzw. postawie dżentelmeńskiej, a nawet jeśli dobrze się w tych sprawach orientuje, to przekornie zachowuje się odwrotnie, niż to nakazują reguły. Nie wynika to bynajmniej tylko z ich młodego wieku i niedoświadczenia. Taki jest już porządek na świecie, że młodzież wzoruje się zazwyczaj na dorosłych.

Jeśliby się przyjrzeć postawie większości, można by zwątpić w istnienie kultury, życzliwości i serdeczności ludzkiej. Najsilniejszy i najczęstszy kontakt mają młodzi z rodzicami oraz nauczycielami, a więc to oni mają największy wpływ na ich kulturę osobistą, nie mówiąc już o kształtowaniu osobowości i charakteru, poglądów. A kto wie, ile ordynarnych słów usłyszy przeciętny młody Polak w domu, jak reagują rodzice na jego problemy, niepowodzenia i chwile słabości? Czy czasem nie wyzwiskami lub sakramentalnym: „Nie mam czasu, daj mi spokój", albo „Ja w twoim wieku..."? Często więc „źródło złego" tkwi w rodzinie.

A w szkole? Jeśli ma się kulturalnych nauczycieli, problem nie istnieje, jednak zdarzają się pedagodzy (właściwie słowo to powinnam ująć w cudzysłów, bo ich metody nauczania, a właściwie zachęcania do nauki są niepedagogiczne), którzy za brak zdolności lub nieprzygotowanie ubliżają uczniowi, poniżają go, czasem nawet po prostu gnębią. Mam spore wątpliwości, czy te sposoby mobilizowania do nauki są kulturalne i taktowne! Dorośli – a już z pewnością nauczyciele – znają myśl jednego z naszych pisarzy: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie", ale chyba nie biorą sobie tych słów do serca!

Każdy Polak, nie tylko młody, widzi nadęte, mrukliwe ekspedientki, dumne, niczym najważniejsze osoby w państwie. Niestety, one się nie zmienią dopóty, dopóki nie skończy się kryzys. A na razie nie pozostaje nic innego, jak bić przed nimi pokłony, aby raczyły coś sprzedać. Również nierzadkim obrazkiem w polskiej scenerii jest pijak bełkoczący wulgarne wyrazy, brudny, śmierdzący, często załatwiający potrzeby fizjologiczne publicznie. On też świadczy o kulturze naszego narodu. Prymitywne jest też zachowanie niektórych ludzi, którzy w szybkim czasie zrobili majątek. Znajomych szukają oni tylko wśród posiadaczy wideo, prywatnego sklepu, samochodu z metalicznym połyskiem zakupionego za dewizy. Nie mają żadnych ambicji, prócz robienia pieniędzy. Nie jest dla nich ważne, jakim się jest, ale ile się posiada.

Chamstwo i prostactwo to nie tylko domena dorosłych. Są, niestety, grupy młodzieży szpanujące ordynarnym wyrażaniem się, znęcające się nad słabszymi, nieśmiałymi, wyładowujące siłę na łamaniu ławek i niszczeniu innych dóbr należących do całego społeczeństwa. Nie jestem pewna, czy oni to robią tylko dla zabawy. Podejrzewam, że mają lekkie „odchyły" od normy. Szkoda, że choć skutki ich działalności są widoczne, to oni sami są nieuchwytni i nietykalni.

W moim otoczeniu znajdują się też „kameleony", które z jednej strony są grzecznymi, miłymi uczniami, nie sprawiającymi kłopotów ani rodzicom, ani nauczycielom, a z drugiej – poza szkołą i domem – zmieniają się w wulgarnych chamów, okazujących swą pogardę i „olewających" wszystkich.

Za postawę prostacką i chamską uważam też nietolerancję, zwalczanie czyichś zainteresowań, wyśmiewanie się z ubioru, stylu życia oraz poglądów innych osób. Nie rozumiem, dlaczego niektórym przeszkadza, że ktoś słucha heavy metalu, a nie Bacha i odwrotnie, że przechodzący obok człowiek ma inną fryzurę lub ciuch. Przecież każdy ma prawo interesować się tym, co mu się podoba i nosić to, w czym najlepiej się czuje! A to, że otoczenie uznaje, iż ktoś wygląda śmiesznie lub jego poglądy są głupie, to nie znaczy, że należy go wyśmiewać, wytykać palcami, traktować z dystansem, rezerwą. Tolerancja to też cecha człowieka kulturalnego.

Nie wymieniłam wprawdzie wszystkich przejawów grubiaństwa i braku kultury, ale są to przecież zjawiska w Polsce tak powszechne, że nie trzeba ich nikomu szczegółowo przybliżać. Najsmutniejsze jest to, że większość ludzi przechodzi obojętnie obok chamstwa, a nawet pobłaża mu i nie ma zamiaru go zwalczać. A przecież chyba nikt nie wątpi, że życie wśród ludzi kulturalnych i życzliwych byłoby i łatwiejsze, i przyjemniejsze. Mimo wszystko jednak mam nadzieję, że postępowanie przynajmniej niektórych zmieni się na lepsze i zapanuje fason na dobre maniery.

Agnieszka (członek LR)
Żywiec

Kto do rezerwatu?

Ludzi, którzy częstują i tak zabrudzone chodniki codzienną porcyjką śliny jest niestety bardzo dużo! Równie wielu jest tych, którzy to, co mają do powiedzenia, wolą wykrzyczeć i to w przekładzie na wulgarny dialekt. Są też chuligańscy artyści, którzy ozdabiają mury domów swymi poematami i malunkami, no i rzesza skrobiących na szkolnych ławkach swe ordynarne płaskorzeźby.

Czy ten „fason" panuje tylko wśród młodych? Ależ nie! Nierzadko i dorośli coś z takiego „fasonu" włączają do swego postępowania. Oto na przykład w tej chwili jakiś pełnoletni mieszkaniec dziesięciopiętrowego bloku uchyla drzwi swego mieszkania i... wypuszcza pieska na spacerek. Spacerek niedługi, bo tylko na któreś tam niższe piętro. Wystarczający jednak, aby pupilek załatwił swą potrzebę choćby... na schodach. Wygodne dla leniwego właściciela, a i pies nie narzeka.

Czy temu „fasonowi" można się oprzeć? Całkowicie chyba nie! Takich „fasonowych" ludzi jest mnóstwo i jeśli ktoś zechce być oryginalny prezentując dobre maniery, od razu zostanie wyśmiany. Żeby nie przyjmować takiego „fasonu", trzeba mieć silną wolę. Bo zawsze jakieś „łacińskie" słówko wypadnie z ust. Ten fason jest jak zaraźliwy wirus, tylko że jedni są bardziej nim zarażeni, inni mniej.

Wielu takie postępowanie imponuje. Niektórzy sami zaczynają tak postępować, bo szczególnie w środowisku szkolnym łatwiej z tym żyć. Ale co to za życie? Może stworzyć rezerwat dla ludzi o takim fasonie.

Kaśka B. (lat 12)
Gdańsk

Fot. **M. Szymański**

MIĘDZYNARODOWY KĄCIK PRZYJACIÓŁ

• Powiew morskiego wiatru i odrobinę piasku z plaży znajdziecie w liście Ingi z ZSRR.

• Angela z Grecji szuka przyjaciela! – Może właśnie Ty nim zostaniesz?

• Lubisz grać w tenisa? – Napisz do Cathleen z NRD.

• Piaszczyste plaże, fale uderzające o brzeg, krzyk mew... Czy chcielibyście znaleźć się wraz ze mną na wybrzeżu Morza Czarnego? Tam właśnie mieszkam, w niewielkim miasteczku Adlerze. Mam na imię Inga i jestem 13-latką. Zbieram pocztówki i kalendarzyki. W wolnych chwilach lubię coś sobie uszyć, poczytać dobrą książkę, posłuchać muzyki. Będę niecierpliwie czekała na listy od Was, **Inga Kiriłłowa, 354348 ZSRR, gorod Soczi-A 348, ul. Rewolucji 1/45;** • Moją ojczyznę często określa się mianem kolebki cywilizacji europejskiej. Jest w tym wiele racji. Tutaj stworzono przed wiekami bezcenne dzieła sztuki, tutaj ma swe źródło wiele mitów, legend i podań, tutaj odbyły się pierwsze igrzyska sportowe. Po tej ziemi stąpał Herakles i Tezeusz. Tu urodził się Sofokles, Archimedes i Perykles. Zgadliście już zapewne, że jestem Greczynką. Do napisania tego listu skłoniła mnie przyjaciółka, Polka. Mam 13 lat. Lubię jeździć konno i grać w koszykówkę. Najchętniej słucham muzyki heavy metal. Mogę korespondować w języku angielskim, francuskim lub greckim. Jeżeli możecie, dołączcie do listu swoje zdjęcie, **Angela Dakoula, 6 Dirou Street, Egaleo, Athens, Greece.**

Podstawowymi surowcami do chemicznych syntez organicznych są węgiel, gaz i ropa naftowa, dające początek karbochemii oraz petrochemii. Na znaczkach pocztowych bezwzględne pierwszeństwo zyskała petrochemia, a ściślej Mazowieckie Zakłady Rafineryjne i Petrochemiczne w Płocku:

– nr 1361 z 1964 r. w serii XX-lecia PRL,
– nr 1432 z 1965 r. w serii poświęconej 20. rocznicy podpisania układu o przyjaźni, pomocy i współpracy PRL–ZSRR,
– nr 1785 z 1969 r. w serii XXV-lecia PRL.

Ponadto trasę ropociągu „Przyjaźń" przedstawia znaczek nr 1131 z 1961 r., wydany z okazji XV sesji RWPG.

Stację pomp w Płocku otwarto uroczyście w 1963 r. Zakłady rozpoczęły produkcję paliw silnikowych w 1964 r., a produktów chemicznych w 1970 r. Stąd pochodzi 75% benzyn i olejów napędowych produkowanych w kraju, gdyż MZRiP są największą naszą rafinerią ropy naftowej. Część petrochemiczna wytwarza polietylen i polipropylen, fenol i aceton, benzen, butadien na kauczuki, wiele innych potrzebnych produktów chemicznych. Choć benzyny i oleje napędowe są bardzo ważne, nie można lekceważyć produktów chemicznych. Bez nich nie byłoby najrozmaitszych wyrobów z tworzyw sztucznych, opon samochodowych i wyrobów gumowych, płynu do chłodnic i wielu, wielu innych. **(kg)**

Jeżeli wklejasz serię do zeszytu – pokryj klejem tylko to miejsce!

Były słowa, pora na czyny...

Gdy dziewięć lat temu opinia publiczna po raz pierwszy dowiedziała się o zadłużeniu naszego kraju, było to niemal szokiem. Dwadzieścia miliardów dolarów wydawało nam się wszystkim wyjątkowo astronomiczną liczbą. Gdy jednak z roku na rok suma łącznych powinności wobec innych państw nieustannie pięła się w górę, by pod koniec lat osiemdziesiątych osiągnąć wartość dwukrotnie większą, już nie robi to na nas takiego wrażenia. Może zdążyliśmy się już z tym pogodzić albo też przyzwyczailiśmy się do długu, którego spłata zajmie nam, Bóg jeden wie, ile lat.

Wszelkie dotychczasowe próby rozwiązania problemu zadłużenia oparte były na pomocy Zachodu. Wiadomo bowiem, że bez jego współdziałania pozbycie się ciążących na nas powinności jest niemożliwe. Przykład Rumunii, która bez żadnej zewnętrznej pomocy ogromnym wysiłkiem spłaciła długi, a przy okazji doprowadziła swą gospodarkę do kompletnej niemal ruiny, jest dla nas groźnym ostrzeżeniem, by takiej próby nie podejmować. Od wprowadzenia w 1981 roku stanu wojennego była to pomoc znikoma, ograniczała się z reguły do przełożenia terminu spłaty kolejnych rat zadłużenia. Ewentualna dalsza pomoc uzależniana była od demokratyzacji życia politycznego, dopuszczenia opozycji do władzy, w pełni demokratycznych wyborów.

Postawa Zachodu zaczęła się zmieniać po czerwcowych wyborach, a przede wszystkim odkąd na czele rządu stanął Tadeusz Mazowiecki. Niemal z tygodnia na tydzień coraz głośniej rozlegały się głosy o konieczności wsparcia naszego państwa. I nie jest to wołanie podyktowane litością czy też specjalnymi względami właśnie dla naszego kraju, lecz twardymi regułami gry ekonomicznej. Zachodni biznesmeni mają bowiem świadomość, że dla szybszego odzyskania kapitałów powinni dziś w nas zainwestować. Kluczem, dzięki któremu możemy liczyć na konkretną pomoc ze strony naszych wierzycieli, jest porozumienie z Międzynarodowym Funduszem Walutowym. Polska była jednym z założycieli tej organizacji, powołanej – najogólniej rzecz ujmując – do udzielania pomocy finansowej i ekonomicznej krajom znajdującym się w ciężkiej sytuacji gospodarczej. Ponieważ MFW należy do najbardziej prestiżowych organizacji w świecie międzynarodowej finansjery, podpisanie takiego porozumienia ogromnie ułatwia każdemu krajowi dalsze rozmowy z wierzycielami.

W ekonomii nie ma nic za darmo – warunkiem zawarcia takiego układu było przedstawienie przez Polskę tzw. programu dostosowawczego gospodarki. Ma on na celu przywrócenie wewnętrznej i zewnętrznej równowagi gospodarczej, odbudowę pozycji płatniczej w stosunkach międzynarodowych, a przede wszystkim zniesienie tych wszystkich blokad, które hamują normalny rozwój państwa.

Spróbujmy teraz te niełatwe sformułowania przetłumaczyć na język bardziej zrozumiały. Program dostosowawczy zakłada, że podstawowym warunkiem jakichkolwiek zmian jest początkowo zmniejszenie a z czasem całkowite zlikwidowanie inflacji. Na czym polega jej mechanizm, wiedzą nawet chyba przedszkolaki, ponieważ ceny rosną, zwiększają się i płace, a ponieważ wzrosły płace, wzrastają i ceny. Im szybciej toczy się ta galopada, tym wyższy jest poziom inflacji. Jedynym warunkiem, by ją zdławić, jest ograniczenie dochodów. Inaczej nie przerwie się spirali inflacyjnej, w której dochody i ceny rosną coraz wyżej w wyścigu bez końca.

Celem niemal wszystkich dokonujących się obecnie zmian jest stworzenie prawdziwego rynku, na którym silny wygrywa, słaby przegrywa, a o cenach decyduje ilość towarów i zapotrzebowanie na nie. Dlatego już w pierwszych tygodniach swej działalności nowy rząd zrezygnował z ustalania jakichkolwiek cen (oprócz kilku najniezbędniejszych towarów: mleka chudego, chleba jednego gatunku, chudego sera białego, niektórych odżywek dla niemowląt). Oznaczało to w praktyce rezygnację z systemu dotacji, czyli pokrywania z budżetu państwa pewnej części faktycznej wartości towaru. Powstała sytuacja, w której poszczególni producenci praktycznie sami ustalają ceny na swe towary.

Program dostosowawczy do łatwych nie należy. Jeżeli konsekwentnie wprowadzać będziemy przewidziane zmiany, musimy liczyć się ze spadkiem dochodów (mniej pieniędzy będzie w domowej kasie i rezygnacja z niektórych przyjemności stanie się koniecznością), likwidacją i bankructwem nierentownych zakładów, a w konsekwencji – z bezrobociem. Surowy to program, ale jest on zalecany przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Niektórzy nazywają go nawet „końską kuracją", ale przykłady innych państw, które leczyły się w ten sposób, pokazują, że jest to jedyna recepta na wyjście z choroby, której na imię kryzys gospodarczy.

W ramach wsparcia finansowego ze strony MFW możemy liczyć na kilkaset milionów dolarów. Ale pieniądze nie są w tym wypadku najważniejsze. Najważniejsze jest to, że Międzynarodowy Fundusz Walutowy akceptując nasz program wychodzenia z kryzysu gwarantuje naszą wiarygodność w oczach zachodnich wierzycieli. Trudno o lepsze referencje. Dzięki nim przywrócone zostanie zaufanie do polskiej gospodarki i stworzone możliwości traktowania nas jak równorzędnego partnera. A stąd już tylko krok do większych sum kredytowych.

Zachodni wierzyciele z reguły określają, na co ma być przeznaczona dana pożyczka. Szwedzi na przykład w całości swą pomoc przeznaczyli na ochronę środowiska naturalnego w Polsce. I twierdzą, że zrobili na tym całkiem niezły interes. Dlaczego? Lepiej bowiem opłaca im się inwestować w Polsce w walkę z wyziewami fabryk, niż później za kilkakrotnie większe sumy walczyć z tymi samymi pyłami u siebie. Z kolei czterdzieści milionów dolarów otrzymanych z Wielkiej Brytanii mamy wydać na szkolenie menedżerów. Kto jak kto, ale tacy ludzie mądrą działalnością popartą wiedzą teoretyczną mogą przysporzyć naszemu krajowi niemałych pieniędzy (w twardej walucie). Bo nie sztuka sprzedać dobry towar po niskich cenach. Cała rzecz polega na tym, by uzyskać za niego jak najwięcej. Do tego zaś potrzebni są dobrzy menedżerowie. Tylko te dwa przykłady pokazują, że nie mamy co liczyć na to, że dostaniemy pieniądze do ręki i zrobimy z nimi, co się nam podoba. Tej pomocy nie można przejeść, trzeba tak ją zużytkować, by przyniosła gospodarce trwałą korzyść.

Gdy na początku grudnia zsumowano wszystkie obietnice pomocy gospodarczej dla Polski (pożyczki, ulgi w oprocentowaniu długów, mniejsze cło za eksportowane towary) wyszła z tego olbrzymia suma dziesięciu miliardów dolarów. W tym miejscu godzi się jednak przypomnieć słowa Lecha Wałęsy, który poproszony o ocenę wizyty w Stanach Zjednoczonych powiedział: *„Spotkaliśmy się z dobrym przyjęciem, dużo otrzymaliśmy w słowach, ale ja poczekam na praktykę"*. Na praktyczne zrealizowanie tych wszystkich słów obietnic – nie tylko z USA – czeka cała Polska.

KRZYSZTOF KILIJANEK

Przemierzył świat na rowerze

W 1931 roku wielki pisarz i poeta hinduski Rabindranath Tagore przyjął w swoim domu młodego Chińczyka. Był nim 22-letni Pan Te-min, który rowerem i pieszo przybył z sąsiedniego kraju do Indii, pierwszego etapu jego wielkiej podróży.

Pan był synem krawca. Do podróży swego życia sposobił się przez lata gromadząc skromne oszczędności. Startował w lecie 1930 roku z Szanghaju i poprzez Azję Południowo-Wschodnią dotarł do Indii. Dalsza jego trasa wiodła przez Środkowy i Bliski Wschód do Afryki, a następnie na Półwysep Bałkański. Stamtąd dostał się do Europy Środkowej, następnie do Skandynawii i wreszcie na Wyspy Brytyjskie. Statkiem przepłynął z Anglii do Ameryki Północnej. Wrócił do ojczyzny z Ameryki Środkowej statkiem przez Pacyfik – po siedmiu latach.

Liderzy szkolnego boiska

Smak hokeja

(Inf. wł.) Zbyszek Szydłowski (na zdjęciu) należał do najdrobniejszych zawodników ostatnich zimowych igrzysk młodzieży. Ale na sanockim lodowisku spisywał się niczym stary wyga i wraz z drużyną stanął na najwyższym podium. Jego zespół uzyskał w „Złotym Krążku" fantastyczny czas – 348,1 sek., chyba najlepszy w dotychczasowej historii oficjalnych zawodów o puchar „Świata Młodych". Reprezentacja bytomskiej szkoły nr 36 miała więc powody do radości – zwłaszcza że trofeum wywalczyła już po raz drugi.

Zbyszek uwielbia hokej. Jest bramkarzem najmłodszej dużyny bytomskiej Polonii. Trenuje dopiero trzy lata, ale już poznał prawdziwy smak tej dyscypliny i ból po starciach z szarżującymi rywalami, po uderzeniach krążkiem. Bramkarski ekwipunek również ma swoją wagę. Dźwigający go zawodnik po meczach i ćwiczeniach jest przemoczony potem. Ale „Szydło" uznaje tylko tzw. męskie sporty i nie boi się ostrych spięć oraz twardego krążka. Nawet w najgorętszych momentach potrafi zachować spokój, błysnąć refleksem, zdziwić odwagą. Trener **Wincenty Kawa** uważa, że Zbyszek może w przyszłości zostać znakomitym bramkarzem. Pracy przed nim wiele, ale czasu również. Mamy nadzieję, że siódmoklasista bytomskiej szkoły nr 36 nie zmarnuje swojej szansy. **(zp)**

Fot. **Z. Przybyłowski**

Do redakcji nadszedł miły list od pana Andrzeja Swobody z Dąbrowy Górniczej, który jest czytelnikiem naszej gazety już... prawie 40 lat! Pan Andrzej przypomina nam, że równo 35 lat temu, w roku 1954 „Świat Młodych" zaproponował swoim czytelnikom akcję „Generał Czarna Stopa" skierowaną do drużyn podwórkowych i nawołującą do sportowej rywalizacji.

Pan Andrzej miał wtedy 13 lat. Doskonale pamięta, że w wyniku tej właśnie akcji razem z kolegami rozpoczęli wydawanie podwórkowej gazetki „Echo Zagłębia", którą z mniejszymi lub większymi przerwami... wydają do dzisiaj (!). Dziś piszą ją w gronie starych, dobrych kolegów bardziej już dla własnej satysfakcji i dla utrzymania ze sobą łączności. Bo oczywiście nie mieszkają już na jednym podwórku – są teraz przeważnie mieszkańcami nowych osiedli, mają własne rodziny i dzieci starsze niż oni wtedy, gdy zawiązali przyjacielską „paczkę" na swoim podwórku.

A co to było za podwórko! Stara kamienica przy ul. Dąbrowskiego 14 nie wyróżniała się niby niczym szczególnym w szeregu innych „familoków" górniczego osiedla. Mieli jednak trochę lepiej niż chłopaki z innych podwórek, bo ich dom przylegał do boiska szkolnego. To dawało im więcej „przestrzeni życiowej", a efektem było powołanie podwórkowej drużyny piłki nożnej o nazwie „OWKS". Brali udział w rozgrywkach „dzikich" drużyn na Śląsku, a i w Turnieju „Świata Młodych" zdarzało się im otrzymywać skromne nagrody.

Ich sportowy świat nie kończył się jednak na piłce nożnej. Zimą królował hokej – na „swoim" boisku szkolnym samodzielnie przygotowywali lodowisko. To na nim w pogoni za czarnym krążkiem toczyli zażarte boje w meczach z innymi podwórkowymi drużynami... piłkarskimi, które w czasie zimy „łapały kondycję" uprawiając bardzo wówczas na Śląsku popularny hokej.

Ale chyba żadna z tamtych drużyn nie wydawała własnej gazetki, tak jak chłopcy z „OWKS". Ich „Echo Zagłębia" redagowane było przez zespół składający się z pięciu podwórkowych redaktorów. Dominował w gazetce oczywiście sport – ten „mały": relacje z meczów własnej drużyny, bieżące wyniki i tabele rozgrywek podwórkowych – i ten „wielki": wyniki meczów ligowych i międzypaństwowych oraz najważniejsze rezultaty i rekordy światowe z różnych dyscyplin.

To jednak nie wszystko... W gazetce pojawiały się też aktualne wiadomości spoza sportu – pod hasłem „O tym sportowiec powinien wiedzieć" zamieszczali informacje o wszystkich ciekawych wydarzeniach i sprawach dziejących się w ich regionie – na Śląsku, w Zagłębiu Dąbrowskim i na ziemi częstochowskiej. Gazetka była pisana ręcznie i wydawana albo w formie ściennej, albo na kilku złączonych ze sobą kartkach. W stale powtarzającej się winietce tytuł „Echo Zagłębia" wkomponowany był w rysunek Zamku Będzińskiego.

– *Czy dzisiejsi czytelnicy „Świata Młodych" robią podobne gazetki?* – pyta pan Andrzej.

CZTERDZIEŚCI LAT PODWÓRKOWEJ PRZYJAŹNI

Na osiedlu Mydlice, w którym mieszka obecnie, dużym, nowoczesnym, jest sporo chłopców tak, jak kiedyś on, biegających za piłką. Wyraźnie jednak daje się zauważyć, że mają gorsze warunki go gry w piłkę niż drużyny podwórkowe z lat pięćdziesiątych. Między wysokimi blokami usytuowano bowiem tylko trawniki i asfaltowe parkingi. Z trawników wyganiają chłopców z piłką dozorcy i niektórzy lokatorzy, a na parkingach zajętych przez samochody jakakolwiek gra w piłkę jest przecież zbyt niebezpieczna. Podejmowane w Radzie Osiedla próby wytyczenia i zorganizowania jakiegoś boiska dla młodych zapaleńców piłki dotychczas nie dały rezultatu.

– *Nie słyszałem też na naszym osiedlu* – boleje pan Andrzej – *o żadnej podwórkowej drużynie piłkarskiej, ani tym bardziej o gazetce przez nią wydawanej. Trochę szkoda! Nie wiem, czy ich dzisiejsza, podwórkowa przyjaźń będzie miała szanse przetrwania tylu lat, co nasza.*

OLGIERD LEWAN

Fot. **autora**

LEGENDA O BESKIDZKIM SMOKU

Rysował
ANDRZEJ MAJEWSKI
z Korbielowa

Andrzej wziął sobie do serca nasze wskazówki dla rysowników komiksów – i oto widać efekt. Praca jest ciekawa graficznie, dobrze skomponowana. Na 24 stronach zamknięta została historyjka pełna różnych przygód dwóch przyjaciół. Fragment, który drukujemy, jest historyjką w historyjce – opowieścią górala, spotkanego podczas wędrówki po górach. Postacie bohaterów są na tyle zróżnicowane, że można je łatwo rozpoznać, tło ujęte w sposób umowny, ale konsekwentny w całym komiksie. Gratulujemy Andrzejowi uporu i pracowitości. Mamy nadzieję, że wraz z nim cieszą się tą pochwałą jego szkolni koledzy w Korbielowie.

... Okazało się, że dwaj rycerze to ni mniej, ni więcej, tylko czarownicy-hipnotyzerzy. Wystarczyło, że wypowiedzieli zaklęcie: „Bądź nam posłuszny" – by groźny smok stał się... smokiem latającym. Rycerze go dosiedli, a on trzykrotnie odbił się od szczytu i wystartował w powietrze niczym rakieta kosmiczna. Podmuch skrzydeł smoka zwalił drzewa na stokach gór, ludzie ze strachu pozamykali się w swych domach – i nikt nie widział dokąd odleciał beskidzki smok z dwoma czarownikami na grzbiecie.

Ale w tę historię nie wszyscy słuchacze gospodarzowi uwierzyli.

KLUB OBIEŻYŚWIATA

Maciek w szkole międzynarodowej

(„Maciek w Czarnej Afryce" - tę część reportażu przeczytaliście w numerze świątecznym „ŚM". Dziś obiecany dalszy ciąg.)

Maciej Mrozik jest uczniem szkoły międzynarodowej w Maputo przeznaczonej dla dzieci, których rodzice są zatrudnieni na kontraktach w przeróżnych instytucjach Mozambiku (jego tata jest informatykiem i pracuje jako ekspert w Departamencie Zabezpieczenia Żywności). Klasa, w której uczy się nasz rodak, to istna wieża Babel. Są w niej reprezentanci Brazylii, Kolumbii, Włoch, Węgier, Chile, Anglii, Zambii, Danii, Malawi, Zimbabwe, Holandii, Peru, Polski.

Wiedzą, gdzie leży Polska

– Ciekawe z jakiego kraju przyjaciela wybrałeś? – pytam.

– Gabora, bo on pochodzi z kraju, który znajduje się najbliżej Polski. Z Węgier.

Ma jeszcze dwóch innych bliskich przyjaciół – Simona z Kolumbii i Gunnara z Danii. Ale najbliższym jest Gabor. Wszyscy czterej mają zupełnie odmienne zainteresowania, ale zawsze są razem. Na pływalni, na boiskach hokeja i piłki nożnej, choć tych gier Maciej bardzo nie lubi. Za to chętnie czyta lub opowiada przyjaciołom pisane przez siebie długachne powieści fantastyczno-naukowe. Lubią się, bo mają o czym ze sobą rozmawiać, dużo czytają i sporo wiedzą na różne tematy.

Wszyscy czterej uwielbiają chodzić do klubu na zajęcia pozaszkolne, które prowadzi tato Maćka: jest to programowanie komputerowe. Ułożyli kilka programów, na każdych zajęciach (raz w tygodniu) piszą program i uczą się nowego hasła (komendy). Klub pana Mrozika cieszy się największym powodzeniem. Zajęcia klubowe nie są obowiązkowe, prowadzą je rodzice i nauczyciele z innych szkół. Niektórzy chłopcy uczą się haftu razem z dziewczętami w klubie szycia. Inni wolą kluby koszykówki i piłki nożnej rozgrywające mecze z innymi szkołami.

Trzej przyjaciele Maćka wiedzą, gdzie Polska leży, wiedzą jaką mamy flagę i godło. I Maciek często opowiada im o Polsce. Zresztą mama uczy go polskiego, a chłopiec prenumeruje „Świat Młodych" i uważa, że nie ma drugiej tak dobrej gazety na całym świecie. „Świat Młodych" zabiera zawsze do szkoły i naszą gazetę oglądają dzieci z kilkunastu krajów...

Uczą się w języku angielskim

Lekcje odbywają się po angielsku i wszyscy muszą w miarę szybko opanować ten język. Kiedy ma się jednak kilka lub kilkanaście lat, obce języki przyswaja się tak szybko, jak się je lody. Po pierwszym roku nauki Maciek świetnie pisał i czytał po angielsku, a bardzo źle radził sobie z polskim. Rodzice przeżyli spory stres, ale chłopiec szybko przy pomocy mamy wyrównał braki.

Szkoła jest państwowa (w Anglii są też identyczne prywatne). Uczniowie uczą się według systemu angielskiego. Co to znaczy? Nauka trwa jedenaście lat. Uczeń idzie do szkoły znacznie wcześniej niż u nas – mając 5 lat. Pierwszy etap nazywa się primary school (pierwsza szkoła). Uczeń pozostaje w niej do 11 roku życia, czyli ta jakby podstawówka trwa 6 lat. Drugi etap to secondary school (druga szkoła) zaczynająca się w VI klasie. Kończy się ją mając 16 lat. Zanim to jednak nastąpi, na czwartym i piątym roku każdy uczeń obowiązany jest wykonywać prace egzaminacyjne. Są one oceniane przez nauczycieli, po czym zdaje się egzamin końcowy, jakby naszą maturę.

Kto ma ochotę i możliwości zdawać egzaminy na wyższą uczelnię, po ukończeniu secondary school, musi przez dwa lata przygotowywać się do egzaminu wstępnego.

Biblioteka to też lekcja

Wróćmy jednak do szkoły Maćka. Zarówno jego klasa jak i wszystkie pozostałe mają własne sale lekcyjne. W salach przedmiotowych pomocy naukowych wszelka obfitość. W klasach magnetowidy, tablice, stolik dla nauczyciela. Uczniowie siedzą przy stolikach po czworo. W klasie Maćka jest sześć stolików. Jak pracują przy takim stoliku? Na przykład w poniedziałek każdy ma obowiązek przynieść na zadany temat wiadomości z gazet, radia i telewizji. Każdy stół ma szefa (za każdym razem innego) i zeszyt, do którego szef wkleja przyniesione i wyselekcjonowane przez zespół materiały.

Uczniowie na lekcji otrzymują zadanie: mają pójść do biblioteki i znaleźć materiały na określony temat, na przykład zebrać wszystko co dotyczy Iwa lub historii cywilizacji. Potem w klasie następuje wymiana informacji i dokładny zapis najważniejszych.

– Biblioteka, to jest też lekcja – mówi Maciek. *– Mamy – przypuśćmy – znaleźć książki o Newtonie. Sami ich szukamy w indeksie, robimy z nich streszczenia, w klasie najważniejsze wiadomości przepisujemy na tablicę i potem do zeszytów.*

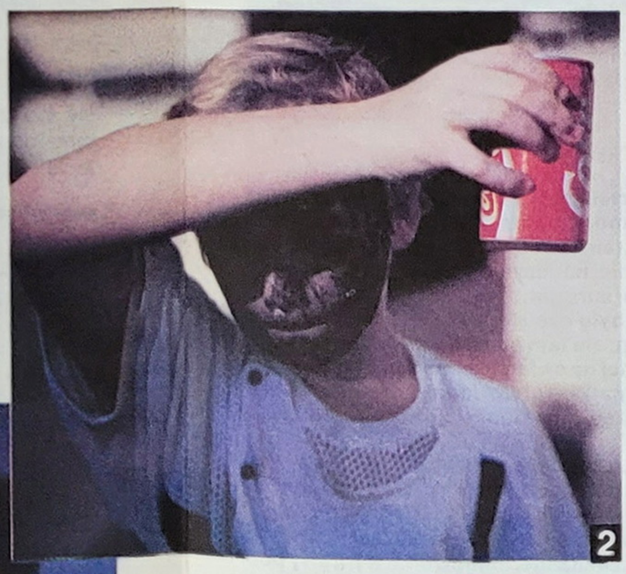
2

1

Pióro kontra flamaster czyli efekty naszej giełdy

• **Sebastian Ziółkowski** z Włocławka. Chyba masz w sobie prawdziwą pasję. Życzę Ci powodzenia i wytrwałości w pracy. Może zmień tematykę: wszyscy teraz uprawiają kosmiczne science-fiction. Czy film i komiksy o „Gwiezdnych wojnach" nie wyczerpały aby tematu?

• **Barbara Bugaj** z Wysocic. Sama piszesz, że rysowałaś szybko i to niestety widać! Czasami nie warto się śpieszyć, jeśli się chce coś zrobić dobrze.

• **Dariusz Szczepankowski** z Lisewa Malborskiego. Doceniam Twój wysiłek włożony w kopiowanie komiksów Janusza Christy, sądzę jednak, że mógłbyś zrobić coś zupełnie innego i bardziej oryginalnego.

• **Paweł Maciaszczyk** z Łodzi. Jak poprzednio, tak i teraz radzę Ci, żebyś ograniczył używanie linijki do ramek rysunków. Zbyt wiele linii prostych i równych psuje wszystko. Poza tym życzymy dalszych sukcesów.

• **Rafał Bambot** z Wołomina. Całkiem nieźle sobie radzisz. Szkoda, że nie przeczytałeś wstępu do naszej giełdy i przykazań dla rysowników komiksów. Zajrzyj tam teraz – numer 77 „ŚM" z dn. 29 VI 89 r.

• **Joanna Stachowiak** ze Szczecina. Dziękujemy za bardzo krytyczny list. Druk naszej gazety bywa rzeczywiście fatalny. Niestety, jesteśmy w sytuacji, że cieszymy się, że nasza gazeta w ogóle się ukazuje. Twój komiks trudno ocenić, ponieważ jest tylko jedną stroną. Ale rysunek jest zabawny.

• **Krzysztof Wyrzykowski** z Bygdoszczy. Szkoda, że rysujesz w zeszycie w kratkę. Ciekawie animujesz postać ludzką, myślę, że przydałyby Ci się ćwiczenia w tym kierunku.

• **Łukasz Sarnat** z Kielc. Twój Bąbelek jest bardzo sympatyczny. Jeśli chcesz nadal „bawić się" w komiks, musisz dużo, dużo rysować.

• **Marcin Paszkiewicz** z Bydgoszczy. Komiks ciekawy, scenariusz niezły. Przydałoby się pracować grubszą kreską i bardziej rozbudować tło.

Cdn.

SZARLOTA PAWEL and Co.

Przepraszamy TOMKA BRAŃSKIEGO z Białegostoku za pomyłkę w jego nazwisku (pisaliśmy do niego w numerze 83 z ub. r.). Co do pytań: i my, i czytelnicy wolą komiksy kolorowe. Objętość dowolna, ale oczywiście podyktowana zawartością. Rzecz w tym, żeby nie znużyć czytelnika, opowiedzieć ciekawą historię w zajmujący sposób. A najlepiej – dowcipnie. Sądzimy, że autor zamieszczonego dziś komiksu jest na najlepszej drodze...

Mają duże zeszyty – do matematyki i do języka angielskiego oraz do prac domowych z tych przedmiotów. I tylko do tych przedmiotów podręczniki. I tylko te zeszyty, no i oczywiście długopisy czy linijkę muszą nosić do szkoły. Nie dźwigają teczek ani toreb – jak Wy. Książki i wszelkie inne przedmioty oraz pomoce do nauki mają w szkole. Takich przedmiotów jak geografia, historia, biologia, chemia, fizyka uczą się wszędzie i ze wszystkiego, i wszelkimi metodami – tylko nie z podręczników.

Nauka trwa trzy semestry: pierwsza przerwa jest w maju (2 tygodnie), druga rozpoczyna się 28 września i trwa trzy tygodnie. Lekcje zaczynają się o godzinie 7.25, a o godzinie 9.20 jest pierwsza przerwa.

Stopnie – a, b, c, d, e, – wystawiane są na koniec semestru i na świadectwie. Natomiast w ciągu roku szkolnego wszelkie uczniowskie prace są punktowane (np. na 20 punktów możliwych można zdobyć 19, 18 czy 15 punktów).

Maciek uwielbia lekcje fizyki. To w końcu jego hobby. I dlatego w klasie najlepiej napisał fabularną opowieść o tym, jak się znalazł na Marsie w 2980 roku... Kto wie, jeśli tak dalej będzie mu się szczęściło, może ziszczą się jego marzenia i któregoś dnia wyląduje na dalekiej planecie...

BARBARA SKÓRSKA

Na zdjęciach:

1. Maciek z niezastąpionym Gaborem w przyjacielskim uścisku...

2. Malowanie „masek" – to też jedna z zabaw na festynie. Maciek tak się „zamalował", że trudno go poznać...

Fot. **Bożena Mrozik**

KIM BASINGER – rok '89 przyniósł jej fortunę!

O tej ślicznej amerykańskiej aktorce zaczęto pisać w polskiej prasie zaledwie od roku, kiedy to wszedł na nasze ekrany sensacyjny film pt. „Bez litości" Richarda Pearce'a. Pisano, że jest to artystka – choć młoda (35 lat) – to już o ustalonej sławie za oceanem i w krajach zachodnich, ale... żaden z jej filmów nie stał się światowym przebojem. W ciągu kilku miesięcy informacja ta całkowicie straciła aktualność! Kim zagrała przecież uroczą reporterkę w absolutnym filmowym przeboju ubiegłego roku, w nowym kasowym rekordzie w dziejach kina, w filmie, który zarobił już więcej niż „ET" Spielberga – czyli w „Batmanie" Tima Burtona!

Droga do sławy, w wypadku Kim, nie była specjalnie „ciernista", ale też wymagała od niej uporu, pracowitości i odwagi. Przyszła gwiazda urodziła się 8 grudnia 1953 r. w Athens, w stanie Georgia, w rodzinie profesora muzyki. Była urodziwa i urodę od początku traktowała jako swój „kapitał zakładowy". Startowała więc w konkursach piękności – konkurencji, którą Amerykanie ogromnie cenią, choćby jako okazję do reklam. W 1970 r. Kim się powiodło – zdobyła tytuł miss.... szamponu. Nagroda, choć niezbyt wygórowana – zaważyła na jej życiu. Była nią podróż do Nowego Jorku, a tam przecież czekały na nią nowe szanse.

Została zatrudniona w znanej agencji fotograficznej Eileen Ford jako modelka. Uprawiała ten trudny zawód przez 5 lat, osiągnęła honoraria wysokości tysiąca dolarów dziennie i... zaczęła próbować sił w innej dziedzinie. Przybrała pseudonim Chelsea i ruszyła jako piosenkarka na podbój estrad. I w tej brażny wiodło się jej całkiem nieźle – jednak tak naprawdę marzyła tylko o aktorstwie filmowym.

Ponoć z okien swojego pokoju hotelowego obserwowała fasadę kina „Ziegfeld Theatre" i wyobrażała sobie, jak to będzie w tym miejscu kiedyś czytać własne nazwisko. Teraz litery KIM BASINGER „krzyczą" z fasad wielu światowych kin, a ona nie musi wynajmować pokoi w niedrogich hotelach. „Batman" przyniósł jej fortunę!

Wróćmy jednak do początków Kim przed kamerami. Jak to na ogół bywa – zaczęła od telewizji. Jak wiele innych, ładnych i utalentowanych dziewcząt – najpierw w tzw. tle. Zagrała m.in. w 1976 r. w dwóch odcinkach „Aniołków Charliego" – bardzo popularnego serialu – jednak nie ją zapamiętali wielbiciele tego filmu, ale trzy główne panie. Zauważono ją dopiero po sporej roli w telewizyjnej wersji „Stąd do wieczności" wg słynnej powieści Jamesa Jonesa. Potem trafiła już na duży ekran.

W 1980 r. zagrała w „Hord Country" („Trudny kraj") i to w doborowym towarzystwie dwóch popularnych aktorów –

Jeana Michaela Vincenta i Michaela Parksa. W dwa lata później została jedną z dziewcząt Jamesa Bonda, w filmie, w którym Sean Connery żegnał się z tą postacią, czyli w „Nigdy nie mów nigdy". Od tego czasu jej nazwisko wymieniano często obok słynnych męskich i damskich nazwisk, ale jakby na drugim miejscu. Dopiero rok 1984 i rola w miłosnym dramacie „Dziewięć i pół tygodnia" Adriana Lyne'a z Mickeyem Rourke sprawiła, że uznano ją za gwiazdę pierwszej wody. (Był to również przełomowy film dla M. Rourke.)

Kolejne filmy, w których wystąpiła Kim, znane są u nas przede wszystkim z wideokaset: „Fool for Love" („Zakochany do szaleństwa") Roberta Altmana, melodramat „Nadine", komedia „Blind Date" („Przypadkowe spotkanie"). W kinie oglądaliśmy ją tylko w „Bez litości" i teraz podobno został zakupiony film najświeższej – przed „Batmanem" – produkcji – komedia „Moja macocha jest ET". (Z niej pochodzi zdjęcie Kim w czerwonym kapeluszu.)

A życie prywatne? Przez 7 lat Kim była szczęśliwą żoną starszego od niej o 15 lat malarza i filmowca – Rona Brittona. Teraz jej małżeństwo się rozpada. Czyżby to była cena sławy i pieniędzy? Kim mieszka na pięknej farmie w pobliżu Los Angeles ze sporą gromadką psów i kotów. W tej chwili szalenie pochłania ją rozsądne zagospodarowywanie pieniędzy. Między innymi Kim stała się właścicielką niemal całego niewielkiego miasteczka Braselon w rodzinnym stanie Georgia. W jego rewaloryzację i rozwój postanowiła zainwestować miliony. Wspomaga też swymi pieniędzmi chore i nieszczęśliwe dzieci.

EWA BIELSKA

GWIAZDOZBIÓR

„Gdy się ktoś zaczyta, zawsze się czegoś nauczy, albo zapomni o tym, co mu dolega, albo zaśnie- – w każdym razie wygra..."

Henryk Sienkiewicz

Opowieść o świecie, którego nie ma

Do motta tej rubryki, podpisanego nazwiskiem wielkiego pisarza, chciałabym dodać swoje trzy grosze: kiedy się przeczyta książkę, która się podobała, chciałoby się, by jak najwięcej znajomych poznało ją również. A ja właśnie jestem pod wrażeniem lektury „Echa" Juliana Stryjkowskiego.

Powieść została wydana w roku 1988, nie jest więc nowością pachnącą drukarską farbą, ale tym łatwiej będziecie ją mogli wypożyczyć z biblioteki. Nie jest to powieść dla młodzieży, ale warto ją przeczytać mając lat kilkanaście, bo – pomoże w zrozumieniu wielu spraw. Jest to opis życia społeczności żydowskiej we wschodniogalicyjskim miasteczku na kilka lat przed wybuchem I wojny światowej. Konflikty wybuchające w tym zamkniętym środowisku decydują o rozterkach jednostek i ich osobistych dramatach.

Takich miasteczek i takich konfliktów było w Polsce wiele. W „Echu" obserwatorem tej specyficznej codzienności jest kilkuletni Aronek, syn handlarki i reb Tojwiego, badacza religii i strażnika starego obyczaju, ale to właśnie Tojwie decyduje, by jego najmłodszy syn uczył się w polskiej szkole. Starszy sam dokonał wyboru – postanowił pojechać do Palestyny.

Aronek zostaje uczniem w polskiej szkole, nie znając ani jednego polskiego słowa. Wystarczył rok, by pięknie deklamował wiersz, jakiego uczono dzieci wychowywane w duchu polskiego patriotyzmu.

Z mieszkańcami takich miast i miasteczek rozsianych po całej Europie rozprawił się hitleryzm. Co stało się z Aronkiem, możemy się tylko domyślać. Książka napisana przez Juliana Stryjkowskiego opowiada o czasach, gdy potworności faszyzmu jeszcze się nie narodziły, opowiada o sprawach minionych, o świecie, który przestał istnieć.

Trzeba pamiętać, że ten świat żydowskiej obyczajowości przez wieki towarzyszył polskiej kulturze wzbogacając ją, oddziałując na nią. Wielu Żydów wywarło olbrzymi wpływ na rozwój polskiej nauki i sztuki nie przestając nawet pielęgnować swoich obyczajów i wiary. Polskę traktowali jako swoją prawdziwą ojczyznę. Może ten fragment „Echa" zachęci Was do sięgnięcia po tę powieść:

„... – A ty czym chciałbyś być? – spytał stryj Karol Aronka. – Kiedyś mi powiedziałeś, że chcesz być nauczycielem jak siostra.
– Chcę układać wierszyki.
– Pięknie. To znaczy, chcesz być poetą?
– Co to jest poeta?
– Taki człowiek właśnie, który układa wierszyki.

– Tak, to mi się bardzo podoba: poeta.
– Czy już ułożyłeś jakiś wierszyk?
– Tak.
– Zadeklamuj nam swój wierszyk.
– Patrzcie dzieci
Słońce świeci
Ptaszek leci
– Pięknie – roześmiał się stryj Karol.
– Znam długi wierszyk.
– Zadeklamuj ten długi wierszyk.

Aronek wstał, dygnął, złożył grzecznie dłonie i zaczął donośnym głosem:

Kto ty jesteś?
Polak mały.
Jaki znak twój
Orzeł biały
Gdzie ty mieszkasz?
Między swemi.
W jakim kraju?
W polskiej ziemi.
Czym ta ziemia?
Mą ojczyzną.
Czym zdobyta
Krwią i blizną.
Czy ją kochasz?
Kocham szczerze.
A w co wierzysz?
W Polskę wierzę.
Czym ty dla niej?
Wdzięczne dziecię.
Coś jej winien?
Oddać życie.

Aronek trzasnął bucikami i ukłonił się. Był czerwony na twarzy. Oczy mu błyszczały.

– Pięknie. Widzisz? – stryj zwrócił się do ojca. – To jest asymilacja. Syn reb Tojwiego mówi, że jest „Polak mały". Czy ty tego chciałeś, Tojwie? Arełe, kto ciebie uczył tego wierszyka.
– Nauczycielka.
– Może wiesz, jak się nazywa?
– Nazywa się Berta Apfelgrun."

AG.

Julian Stryjkowski „Echo", „Czytelnik" 1988, wyd. I cena 900 zł. 336 str.

Fot. **M. Włodarski**

Małe czarne

Książeczki są małe. Takie w sam raz do nieco większej kieszeni. O, może do kieszeni plecaka na przykład. Wszystkie oprawiono w czarne jednolite w charakterze okładki. Nie bardzo mi się te okładkowe smutasy podobają, ale małe tomiki zawierają poważne treści i prawdopodobnie dlatego ubrano je tak dostojnie.

Ostrzegam przed tymi czarnulami tych, którzy szukają lekkiej rozrywki. Tu jej nie znajdą. Te książeczki prowokują ciężkie myśli. Niepokoją, stawiają przykre pytania.

Autorki – tak się złożyło, że trzy pierwsze dostępne teraz w bibliotekach i księgarniach książeczki napisały kobiety – wiedzą, że gdy ma się naście lat można już narobić głupstw na całe życie. Wiedzą, że człowiek niedorosły to wcale nie człowiek bez trosk. Wiedzą sporo o młodych, rozumieją ich i ciekawie, mądrze piszą o trudnych, choć codziennych sprawach.

„Rozmowy nocą" – autorstwa **Ilse Kleberger**, zachodnioniemieckiej lekarki, znanej i poczytnej pisarki.

Szesnastoletni Beniamin podejmuje kolejną próbę wyjścia z nałogu. Jest młodocianym alkoholikiem. Walczy o siebie z... samym sobą. To najtrudniejsza z walk. Zwycięża. Pomogli mu wrażliwi, mądrzy ludzie,

ale przede wszystkim to zwycięstwo zawdzięcza sobie.

„Gdzie jest Ilse?" – autorką tej powieści jest wiedenka, plastyczka i ceniona w Austrii pisarka dla dzieci i młodzieży **„Christine Nöstlinger**.

Ilse poznajemy z relacji jej młodszej siostry Eriki. Erika opowiada o swojej pięknej 14-letniej siostrze, to ona odkrywa to, co poprzedziło ucieczkę Ilse z domu. Erika jest krytyczna wobec rodziców, ale i obiektywnie szczera wobec siostry.

„Jesienne astry" – Mirjam Pressler. Zachodnioniemiecką pisarkę interesuje przede wszystkim nastolatek w tzw. trudnych rodzinach. „Jesienne astry" to ponoć

CIĄG DALSZY NA STR. 7

47

MARIA BOROWA

OGRODY

Patrzyła pilnie na kran. Kapało z niego.

– Fil chce – oświadczyła chłodno. – Nie wyobrażaj sobie. A ona... – odparowała cios – ona teraz i tak nie jest sama. Jutro do niej pójdziemy. Jak nie chce ci się nic robić, możemy zagrać w szachy.

– W pchełki. I nie dziś. Szachy są dla mnie zbyt skomplikowane. Nie jestem taki rozgarnięty jak ty. A... o niej skąd wiesz? To, że nie jest sama?

– Fil wie. Powiedział mi. – Teo odkleiła się od drzwi i wsadziła głowę do szafki. – Chcesz jeść? – spytała grobowym głosem. – Ja okropnie. Muszę zmienić smak. Wcale nie kwaśne... – To było o marynowanych grzybach, których duży słoik trzymała w uścisku pod brodą. –... wprost przeciwnie. – Przechyliła ciemną powierzchnię w moim kierunku.

Odrzuciłem propozycję pamiętając śliwki w occie, którymi częstowała mnie gorliwie nie tak dawno. Do dziś na wspomnienie ich smaku tracę dech.

– To mój słoik – kusiła. – Sama robiłam... khyy! – popluła w kułak. – Jakiś farfocel – wykrzywiła buzię. – Zaplątał się niechcący.

... – To dziwne dzieci – powiedziała dziewczyna. – Bałam się ich i nie lubiłam, kiedy kręciły się blisko. Oddychałam z ulgą, gdy odchodziły. Potem zauważyłam, że robią to zawsze o tej samej porze. Myślałam, że idą na obiad albo po prostu to ich stały czas powrotu do domu. Myliłam się, szły do ciebie. Nie wiedziałam. Czekały ... Zauważyłeś, jakie są samotne, chociaż nie same?

Zauważyłem. Powiedziały jej, że kochają Malwinkę jak... Matkę Boską. Obie są piękne i najlepsze – i obu nie ma chociaż są. I czy która z nich będzie kiedyś z nimi? Najpierw wolą Malwinkę. Matka Boska będzie dopiero po śmierci. Nie chcą czekać tak długo i przecież nie umrą. Zresztą uzgodnili już czyściec. Z Markiem... (Wtedy powiedzieli jej o mnie.) Lubią czyściec. Jest w nim ogród i nikt nie jest sam. Zabiorą ją tam, jeżeli zechce. Dostaną przepustki na spotkanie z Malwinką. Bo Malwinka pójdzie do nieba. Ale Teofil zamieszka z nimi! Żywy. Znajdzie się... Nie mówili o Teofilu Markowi. Bali się, że ich wyśmieje. Wszyscy dorośli nie lubią zwierząt. Malwinka nie... Chyba że są starzy jak pan Ziębiewicz. A ona?

– Powiedziałam im, że lubię ogród... A mała, że to wystarczy. W każdym ogrodzie jest Teofil, nie wiem tego czy co? Ogród bez Teofila jest nieważny jak zoo bez żyrafy i słonia. W tamtym moim nie było... A może był, tylko nie wiedziałam o tym? Tak... – Wróciła do nas już tutaj, do siebie i do mnie, po długiej chwili – te dzieci są naprawdę bardzo dziwne. Mała jest dzielna. I mądra... Kiedy Fil upadł i przeraziłam się, że nie żyje... To było głupie, ale naprawdę wyglądał bardzo źle i straciłam głowę, Teo pierwsza zaczęła działać i krzyknęła: – on nie umarł, on nigdy nie umrze, nie bój się...

2

Był kot, na którego stary człowiek wołał Teofil. I było dwoje dzieci zagubionych w pustym ogrodzie. Teo i Fil. Nazwały się tak same, żeby być kimś, kogo kochają.

Pozwoliły mi zobaczyć wtuloną w ścianę małą obcą siostrę, której dotąd nie dostrzegłem, bo była obca i mała, i ją – dziewczynę na krześle z kółkami.

Najpierw – poprzez Teo – zobaczyłem Mirkę Michalak, przyrodnią siostrę. Tak jakoś, przez nałożenie czegoś głośnego i zaborczego na szarą, niemą kukiełkę przyklejoną do ściany. Zupełnie różne szukanie i czekanie na drugiego człowieka. Jednakowo intensywne czekanie... Wydawało mi się, że z bliźniąt Teo jest górą. Zdaje się, że niewąsko są myliłem. Wszyscy troje pragnęli uwagi skierowanej na siebie, chcieli być akceptowani i przez to bezpieczni. Mirka miała moją matkę. Teo i Fil byli sami. Ich Malwinka była abstraktem jak zapach i kolor bajki, Jana nie była Malwinką, ojca nie nauczyły się jeszcze podziwiać. Znalazły sobie zatem surogat – ciepły, miękki i na tyle niezależny, że można było czasem nim się dzielić. Teofila.

Bawiły się też w dom, ale tam stawała im na drodze Jana – krzywe odbicie jedynej na świecie, najlepszej, we wszystkim ich akceptującej matki. Potem Jana zaczęła wymykać się ich buntowi i sprzeciw zastąpiło zdziwienie, a zaraz potem niepokój.

Jana zaczęła od nich odchodzić. Świat opustoszał niebezpiecznie, a leżał za miastem i nawet w dzień można było się bać. Ruch nie dawał wrażenia pełni; w ogrodzie działo się niewiele, a na ucieczkę było jeszcze za wcześnie. Wypady za furtkę były zakazane, samowolne wyprawy pod tamto okno sporadyczne, nie dawały satysfakcji ani uczucia spełnienia tęsknot. Pozostałem ja – przypadkowy przybysz z Tajlandii, kopiący dla zarobku zachwaszczoną ziemię w dzikim ogrodzie, z darmowym karkiem-nosidłem „na barana".

Tego noszenia i innych spraw za darmo nie było tak wiele, jak mogłem przypuszczać, a szkoda... jednak. Ciotka zarządziła remont mieszkania, wujek potulnie wziął zaległy urlop – i zamiast sześciu w tygodniu pełnych popołudni na Sienkiewiczówce byłem w ogrodzie dwa, trzy razy po trochę. Co mogły robić całymi dniami pozostawione sobie sześciolatki – nie miałem pojęcia i długo mnie to nie obchodziło.

Ich dom był inny niż te, które znałem. Jego mieszkańcy też. Czułem niejasno, że wszedłem w świat, jakiego nie było u ciotki ani w dalekim miasteczku nad rzeką.

Ten świat składał się z innych ścian, okien i przedmiotów. Miał inne kolory i odgłosy. Inny zapach, klimat i zwyczaje. Ta inność nie była określoną sumą wydatków poniesionych na nią, a przynajmniej nie o to chodziło. Nie była na pokaz, nie była nowa, krzycząca; rzecz polegała na... nie wiem na czym. To był stary dom, zegary odmierzające jego czas stanowiły majątek równy tej inności, związane z nią naturalnie i nierozdzielnie.

Najpierw poznałem parter; kuchnię, gdzie z dziećmi, czasem z Janą lub panem Zagórskim jadłem kolację. Do stołu siadało się jednak, kiedy kto chciał, był w domu – i jadło, na co kto miał ochotę.

Cdn.

Małe czarne

jej najlepsza książka (m.in. wyróżniona szwajcarską nagrodą dla książki dziecięcej).

Opowiada o 15-letnim kalekim chłopcu, jego dużej, dobrze sytuowanej ale chyba niezbyt szczęśliwej rodzinie. Samobójcza śmierć młodszego brata to wstrząs dla Thomasa – głównego bohatera i dramat dla całej rodziny.

Tak, to nie są wesolutkie, błahe książki dla młodego czytelnika. To są dobre książki dla myślących. To nie jest uładzona proza, gdzie wszystko jest albo czarne, albo jednoznacznie białe, a przeważa kolor różowy. Te książki nie omijają tematów drażliwych, nie ukrywają trudnych spraw, nie idealizują rodziców tylko dlatego, że są rodzicami, nie bagatelizują problemów jakie gnębią ludzi młodych.

Ciekawe dobre mądre książki. Kolejna udana seria Instytutu Wydawniczego „Nasza Księgarnia".

Zapowiadane są następne tomiki tej serii: **„Zaćmienie słońca" Alberta Lichanowa** i **„Dziewczyna z windy" Gabrielle Herzog.** Czekam na nie niecierpliwie. I Wam polecam.

(wk)

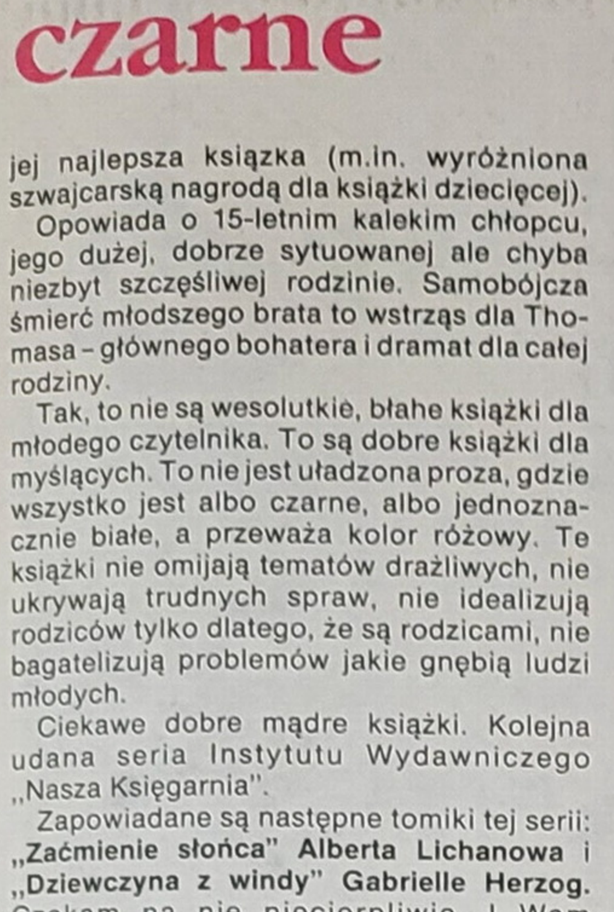

świat młodych

ZŁOTA OSTROGA

Opowiadanie Anny Marszałek z Głogowa zostało wyróżnione w tegorocznym konkursie literackim „ŚM"

OPOWIEŚĆ ANTENY SATELITARNEJ

Cześć, Młody Przyjacielu!

Co się stało? Czemu jesteś taki zdziwiony? A... Nie znamy się... I co z tego? Możemy przecież zaraz się poznać: jestem Anteną Satelitarną. Co, śmiejesz się? Nie wierzysz? To nie wierz sobie! Nikt Cię nie zmusza. Ale może zechcesz chociaż wysłuchać mojej opowieści? Wciąż jeszcze nie dowierzasz, co? A mimo wszystko jesteś ciekawy tego, co może mieć do powiedzenia zwykła Antena Satelitarna. No, może nie taka zwykła?..

Moja historia jest dość długa, lecz nie wszystko Ci opowiem. To, jak powstałam, nie jest wcale istotne, ani ciekawe. Ot, fabryka, robotnicy... Nudno tam było jak diabli. Po pewnym czasie zamontowali mnie tutaj, na balkonie jednego z wieżowców, stojących na nowym osiedlu miasta.

Na początku było nawet fajnie. Oglądali mnie, podziwiali, obchodzili się jak z jajkiem... Ale niedługo trwała ta sielanka. Wkrótce przywykli do mnie i zaczęli traktować jak te suche resztki pelargonii w skrzynce obok. Po prostu przestałam się dla nich liczyć. Żeby więc nie umrzeć z nudów, postanowiłam zaobserwować podwórko.

Raz po raz zdarzyły się rzeczy, które mną wstrząsały do głębi.

★

Czy widzisz ten trawnik? O, tu na dole. Tak, ten. Gdzieś w końcu marca zaczęły kwitnąć kwiaty. Nie zapomnę tego pierwszego krokusa. Miał żółty kolor, jak słońce. Zawierał w sobie tyle radości, szczęścia... I raz, jakoś tak w tydzień po dniu, gdy dostrzegłam kwiatek, szedł sobie po chodniku chłopaczek. Ja wiem, czwarta klasa, może piąta... Targał za sobą worek z butami. Uginał się pod ciężarem tornistra. Było około jedenastej. Nawet się zdziwiłam, bo o tej porze dnia dzieci nie łaziły po podwórku. Ewentualnie w stronę szkoły, na drugą zmianę. Ten jednak szedł w kierunku przeciwnym. Zdaje się, że wagarowicz. Nudził się nieprzeciętnie. Podbiegał do kamieni oraz innych śmieci i ze złością kopał. Pamiętam, że zastanowiło mnie, skąd w takim malcu tyle nienawiści? Wtem chłopiec zauważył mojego przyjaciela krokusa. Dostrzegłam tylko złe błyski w jego oczach i wnet kwiat został zdeptany. Ze złością, z pasją, z furią! Ciarki mnie przeszły. Co niewinny kwiatek zrobił chłopcu? Nie mogę zrozumieć do dziś. Po co chłopiec zniszczył kwiatek? I wtedy pomyślałam sobie, że ludzie są okrutni dla roślin.

★

Później, gdzieś po miesiącu, znów miało miejsce wydarzenie, które na trwałe zapadło mi w pamięć.

To był, zdaje się piątek, mniej więcej południe. W pewnym momencie usłyszałam przeraźliwe miauczenie i śmiechy. Spojrzałam w górę. Na dziesiątym piętrze coś się działo. Jakaś szamotanina, piski. Wtem kot zawył głośniej. Jakieś ręce wypchnęły go z okna i zwierzę jak piłka zleciało na dół. Wrzeszcząca przeraźliwie kula nagle zamilkła. Niestety, nie widziałam, co pozostało z biednego kociaka. Może to i lepiej. Zdaje się, że taki widok nie jest przyjemny. Br... Już sobie to wyobrażam. A Ty? Czy słyszysz to okropne wycie przestraszonego zwierzaka? Nie życzę Ci, byś był kiedykolwiek świadkiem takiego zajścia. Straszne. Ten kot lecący jak jakiś śmieć.

I wtedy pomyślałam sobie, że ludzie są okrutni dla zwierząt.

★

Pewnego razu przyszli przed blok jacyś chłopcy. W piaskownicy bawiły się właśnie dzieci, a oni podeszli do nich i zaczęli coś krzyczeć. Nie, nie słyszałam żadnych konkretnych słów. Chyba jednak to nie były słowa zbyt przyjemne, bo dzieci momentalnie zbiły się w ciasną gromadkę. Wyglądały jak przestraszone króliczki. Czy widziałeś kiedyś strach w oczach dziecka? Bo właśnie ja zobaczyłam.

Jeden z tych chłopaków, taki wysoki obszarpaniec, podszedł powoli do dziewczynki w czerwonej sukience i pociągnął ją za warkocz. Wyjął z tylnej kieszeni linijkę i przyłożył do gardła małej. To miał być niby taki nóż. Ot, kawał. Widziałam, jak oczy małej zaokrągliły się z przerażenia, jak dziecięca bródka zatrzęsła się ze strachu...

Młodzik puścił małą z dziką radością, odskoczył, czekał na reakcję. A ona biedna rozpłakała się. Chciałam krzyczeć, wrzeszczeć! Ale nikt mnie nie słyszał. Ty jednak mógłbyś krzyknąć...

W końcu jednak matka dziewczynki przegoniła łobuzów.

I wtedy pomyślałam sobie, że ludzie są okrutni dla siebie.

A może tak właśnie wygląda Twoje podwórko?

Anna Marszałek (15 lat)

Zimowe malowanki...

To obrazy najlepszego artysty, jakim jest... natura. Szron, osiadając na liściach, kwiatach, gałązkach potrafi stworzyć dzieła piękne i godne naśladownictwa. Urokowi zimowych malowanek trudno się oprzeć...

Fot. **CAF**

ŚWIAT NA 4 KÓŁKACH

Trójkołowy MORGAN

CIĄG DALSZY ZE STR. 8

Pojazdy wzbudziły zainteresowanie tak duże, że skłoniło to Morgana do opracowania w 1913 roku kolejnych wersji już 2-miejscowych, z takimi luksusowymi dodatkami jak przednia szyba, czy w niektórych odmianach maska silnika.

Trójkołowe MORGANY charakteryzowały się bardzo lekką konstrukcją, a nisko położony środek ciężkości i stosunkowo duży rozstaw przednich kół gwarantowały dużą stabilność pojazdu. Doskonałe osiągi zapewniały motocyklowe silniki, głównie widlaste, dwucylindrowe marki JAP, Matchless, Blackburne czy Anzani. Przy okazji warto wiedzieć, że zakłady Morgana nigdy nie produkowały własnych jednostek napędowych, kupując je od znanych wytwórni. Tak czynią i obecnie przy produkowanych samochodach sportowych.

W roku 1915 zakłady wprowadziły do produkcji model czteromiejscowy, nazwany Family Runabout, umożliwiający dodatkowo przewóz większej ilości bagażu, lub dwójki dzieci, jednakże w nie najbardziej komfortowych warunkach.

W 1925 roku MORGANY zaczęto produkować z hamulcami kół przednich, reflektorami oraz elektrycznym rozrusznikiem. W tych latach zastosowano też trójprzekładniowe skrzynie biegów z biegiem wstecznym.

Od 1933 roku zakłady w Malvern Link rozpoczęły produkcję unowocześnionego modelu F z czterocylindrowym silnikiem Forda o pojemności jednego litra, który już był umieszczony konwencjonalnie, a więc pod maską. Ten typ był też ostatnim z serii trójkołowców, a jego produkcję zakończono w 1950 roku.

Pokazany na zdjęciu MORGAN (uczestniczący w poznańskim rajdzie) zbudowany został w 1934 roku, jego właścicielem jest Terry Martin (ten pan pod parasolem). Samochód napędzany jest dwucylindrowym silnikiem firmy Matchless o układzie cylindrów w kształcie litery „V", o pojemności 990 cm sześc. i mocy 42 KM.

Firma w danych technicznych tego pojazdu podawała, że osiąga on prędkość maksymalną 145 km/h.

Obroty od silnika w tym MORGANIE przekazywane są najpierw za pośrednictwem wału do skrzyni biegów. Od skrzyni biegów przekazywanie napędu na tylne koło odbywa się za pośrednictwem łańcucha, tak jak w motocyklu.

Doskonale odrestaurowany (a taki jest pojazd Terrego Martina) trójkołowy pojazd firmy Morgan jest chętnie nabywany przez kolekcjonerów, którzy płacą za poszczególny egzemplarz do 25 tysięcy dolarów.

KĄCIK PRZYJACIÓŁ MOTORYZACJI

Radosław HAMERSKI, ul. Majakowskiego 4, 83-424 LIPUSZ, poszukuje zdjęć z cyklu „Katalog Motoru", za które oferuje dużą ilość adresów do firm samochodowych, oraz opis techniczny budowy wzmacniacza.

Janusz PATYK, ul. Kolejowa 12, 78-314 SŁAWOBORZE, poszukuje prospektów: Saaba, Porsche, Hondy, Yamahy, Lotusa, Peugeota, Audi, Rolls-Royca, Chevroleta, Fiata i Jeepa. W zamian oferuje prospekty: Mercedesa, Opla, Forda, Nissana, Citroena, Toyoty, znaczki pocztowe, względnie zapłaci gotówką.

Karolina ZAKRZEWSKA, ul. Świerczewskiego 33, 56-110 LUBIĄŻ, poszukuje plakatów z Tomem Cruise, w zamian oferuje prospekty Forda i BMW.

Sylwia STANKIEWICZ, ul. Sienkiewicza 23/6, 59-600 LWÓWEK ŚL., poszukuje prospektów następujących motocykli: MZ, Honda, Kawasaki, Yamaha, Suzuki. W zamian oferuje różne prospekty, zdjęcia piosenkarzy, pocztówki, naklejki.

Arkadiusz MACIEJEWSKI, ul. Hetmańska 40/1, 58-314 WAŁBRZYCH, poszukuje adresów do firm samochodowych i lotniczych oraz prospektów amerykańskich ciężarówek. W zamian oferuje adresy do innych firm samochodowych oraz prospekty Audi, Volkswagena, Daihatsu, Isuzu i Volvo.

ZENON DUTKIEWICZ

UŚMIECH NUMERU

PAN MĄDRALA przychodzi do „Pewexu", by kupić telewizor.

– Jaki pan sobie życzy, czarno-biały czy kolorowy?

– Oczywiście, że kolorowy! – odpowiada pan Mądrala. – Najbardziej mi się podoba ten popielaty...

★

PAN IKSIŃSKI opowiada koledze:

– Wiesz, jechałem moim maluchem za wielkim TIRem. Jadę kwadrans, pół godziny i nie mogłem się zdecydować, by go wyprzedzić. Wreszcie zdecydowałem się. I w tym momencie z przeciwka nadjeżdża taki sam olbrzymi TIR... No, jakoś się przecisnąłem między nimi...

I po chwili pyta:

– Nie znasz kogoś, kto kupiłby tanio bardzo wąskiego i bardzo wysokiego małego fiata?

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, telex 81-36-58. ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42. **Sekretarz redakcji** Michał Malicki, z-cy sekr. red. Małgorzata Szczepańska i Grzegorz Burakiewicz tel. 28-25-48. **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 21-98-28), Ewa Kosińska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13), Wojciech Wróblewski (dz. fotoreportażu tel. 21-98-28). **Graficy:** Marlena Hanke, Szarlota Pawel i Magdalena Piotrowska. **Redaktorzy techniczni:** Danuta Drygalska, Grażyna Pajorkowska i Barbara Zając. **Kierownik korekty:** Barbara Boguszewska; korektorki: Maria Marasek i Irena Ochrymowicz. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49, wewn. 403. Cena ogłoszeń 2000 zł za 1 cm². Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: Państwowy Bank Kredytowy III OM Warszawa, nr 370015-5757-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

SKŁAD: Spółka z o.o. „POLOLIMP" w Warszawie.

Zam. P-30/89. A-42.
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Łodzi
Zam. 3425/89

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 4 (4710)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

ŚWIAT MODY — KARDIGAN

Znaczenie tej nazwy wielokrotnie już Wam w przeszłości wyjaśniałam. Że sweter to jest każda bluzka czy wdzianko udziergane (ręcznie lub maszynowo) z włóczki i że dzielą się swetry na: pulowery i kardigany. Pulowery – zakładane są przez głowę, kardigany – zapinane są z przodu. Proste, prawda?! I chociaż niby bez znaczenia większego jest to rozróżnienie, to warto o nim wiedzieć, aby... nie mówić: ,,widziałam wczoraj na wystawie prześliczny rozpinany pulowerek!". Bo dla tych, co się na rzeczy znają, to jest śmieszne. Więc Wy też się znajcie!

A jeśli chodzi o kardigany, to ostatnio popadły... w niełaskę. moda ich jakoś nie lubi, wszędzie mamy zatrzęsienie pulowerów. Ale w ogóle to (kardigany) są. W żurnalach się je widzi, w sklepach też od czasu do czasu bywają. Mijamy je wówczas dość obojętnie. Ba, nawet te co w domu się znajdują, też traktujemy jak coś gorszego. Wiszą w kącie szafy lub poniewierają się na dnie szuflady. Biedne! Tym biedniejsze, że wcale sobie na takie traktowanie nie zasłużyły.

Zapomnieliśmy, że mają ogrom zalet. A więc po pierwsze są takie... pośrednie. Pulower się na siebie zakłada i on na człowieku jest, z całym dobrodziejstwem swej (mniejszej lub większej) grubości. A kardigan można zarzucić, można rozpięty nosić, można wreszcie – gdy chcemy, by pełnił najcieplejszą ze swoich ról – zapiąć. Trzy różne warianty ociepleniowe, to wcale niemało.

Po drugie – kardigany są wielofunkcyjne. Zwłaszcza te cieńsze. Można je bowiem nosić na wiele różnych sposobów. Kilka z nich pokazują zamieszczone obok zdjęcia, ale one wcale nie wyczerpują przecież wszystkich możliwości. Ta zaleta kardiganów również nie jest bez znaczenia.

A więc... Nie, nie chcę w Was wmawiać, że kardigan to przebój, szał, najmodniejszy z modnych ciuch. Bo tak nie jest. Ale namówić to bym Was chciała. Namówić, abyście... polubiły trochę kardigany. Wydaje mi się, że warto.

RIUSZKA

ŚWIAT NA 4 KÓŁKACH — Trójkołowy MORGAN

Na tradycyjnym, już 17 z kolei Poznańskim Rajdzie Pojazdów Zabytkowych, odbywającym się w dniach od 14 do 17 września 1989 roku, bardzo dużym zainteresowaniem cieszyły się dwa pojazdy trójkołowe marki MORGAN. Były to pojazdy produkowane w Anglii, a do Poznania doprowadzili je ich angielscy właściciele.

Organizatorzy rajdu zakwalifikowali te pojazdy do grupy samochodów, lecz Anglicy zdecydowanie zaprotestowali twierdząc, że ich pojazdy mają cechy konstrukcyjne bardziej zbliżone do motocykli. Tak więc w zmaganiach rajdowych w Poznaniu, MORGANY konkurowały w grupie motocykli.

Czy tego rodzaju pojazdy należy uznać za samochody, czy motocykle – niech osądzą sami Czytelnicy, którym prezentuję krótki rys historyczny produkcji.

W pierwszym dziesięcioleciu naszego wieku w miejscowości Malvern Link w hrabstwie Worcester w Anglii, absolwent wydziału budowy maszyn Henry F. S. Morgan rozpoczął prace nad własnymi pojazdami. Najpierw skonstruował motocykl, a później po dwuletnich wysiłkach wspomaganych przez innego konstruktora – Stephensona Peacha, zbudował prosty trójkołowiec z widlastym dwucylindrowym silnikiem Peugeota o mocy 7 KM.

Ciekawa była koncepcja tego pojazdu. Silnik umieszczony z przodu przymocowano do rury będącej nie tylko głównym elementem nośnym ramy podwoziowej, ale i osłoną układu przeniesienia napędu na pojedyncze koło tylne. Skrzynia biegów miała zaledwie dwa przełożenia, a zmiana biegu wiązała się z napięciem odpowiedniego łańcucha napędowego.

Pierwszy trójkołowiec Morgana miał też niezależne zawieszenie kół przednich, drążek sterowniczy zamiast koła kierownicy i hamulec działający na koło tylne. Samochodzik mieszczący tylko kierowcę debiutował oficjalnie w 1910 roku na wystawie motocykli w londyńskiej hali Olimpia, obok dwóch innych prototypów z 1 i 2-cylindrowymi silnikami JAP o mocy 3,5 i 6 KM.

CIĄG DALSZY NA STR. 7

Zdjęcie **autora**